

Skazana na uczniów „Balladyna” płatała się po wojnie po polskich scenach jako zło konieczne. Jak Syzyf przepychała słowa na widownię, gdzie wiało mniej grozą, a więcej nudą. Teatry tłumaczyły, że to w porządku, bo lektury szkolnej nie można przykadzać żadną awangardą. Wszystko musi być jak Pan Bóg stworzył, a raczej jak wieszcz Juliusz był uprzejmy napisać. Podobno poloniści trzęśli się nad każdym uronionym wyrazem czy sensem jak stare dewotki.

Cieężkie życie miała „Balladyna”...

W roku 1950 sam Konstanty Puzyna pisał o „Balladynie” jako o „oderwanej od własnej klasy społecznej i przez tę klasę potępionej”. Nie chodziło mu jednak o klasę szkolną, a klasę robotniczo-chłopską.

Parę lat później wybrzydził się na pannę B. inny wspaniały człowiek teatru, świetny scenograf — Jan Kosiński, który w książce „Kształt teatru” dał temu wyraz w następujący sposób: „Balladyna” taka, do jakiej przywykliśmy na naszych scenach, mocno mnie irytuje. Cały szekspirowski bigos, którego się wstydliwie nie zauważa — „Król Lear”, „Sen nocy letniej” i „Makbet” na kupę — wszystko razem upakowane w jakąś czkawkę po Wagnerze przetransponowanym po słowiańsku — to dość obrzydliwe”.

Sporo czasu minęło zanim prof. Zbigniew Raszewski wyłożył czarno na białym proveniencję „Balladyny”, która („Balladyna”), jak dowodził, urodziła się w głowie Słowackiego nie z literackiej wyobraźni, a raczej była reakcją na panującą w Paryżu teatralne mody. Wówczas tłumy waliły na spektakle pełne przeróżnych mechanicznych efektów, cudów, pirotechniki, zjaw, grzmotów, duchów, wichrów, żywych i sztucznych zwierząt, wodotrysków i czoł wie jeszcze czego.

Ożywił tę pełną ironii, paradoksu i fantazji tragifarsę w roku 1974 Adam Hanuszkiewicz odczytując „Balladynę” jako współczesną bajkę w komiksowej konwencji. Tym razem uwiodła widzów i nawet wytrawnych krytyków (Fik, Treugutt, Hausbrandt) ta Balladyna-Barbarella na hondzie. Mówiło się o niej wszędzie, nawet w kolejkach po delikatesowej dobrej okresu pełnych półek.

Z całą pewnością było to żywe przedstawienie, dobrej próby zabawa teatralna. Czy mąd-

ra? To pytanie podzieliło krytykę, ale nie podzieliło publiczności, która tłumem waliła do kasy.

„Balladyna” też była czterdziestą premierą Teatru Dramatycznego w Legnicy. Nie było w niej lśniących chromem hond, musiał je zastąpić jeden i to stary rower. Nie było też elektronicznych zabawek z „Pewexu”, ale ozdobą przedstawienia była „połówka” czystej w rękach Grabca. Panny Alina i Balladyna wystąpiły w strojach pożyczonych z „Wesela”. Kirkor też nie paradował jak u Hanuszkiewicza w białym smokingu, ale w skromnym husarskim przyodziewku spod Wiednia z piórami we właściwym miejscu. Jak widać — biednie było i kryzysowo... No, może z tą biedą i kryzysem trochę przesadziłem!

Gdy kurtyna pnie się w górę, zaczynają do nas mrugać jakieś wielkie oczyska. Nie z oczodłów nas świdrują swoim światłem, ale z dion, rąk-kikutów, z lasu rąk. Nie ardeński to laszek z Szekspira, nie słowiański ze Słowackiego, ale bliższy wizjom Dalego. Klimat „nieświadomego”, „nieokreślonego” podsycają przedzielające niektóre sceny spaceru dwóch postaci z pochodniami. Bez głów. Czuć tu topór Topora. Cały spektakl klamruje postać upiornej, choć ślicznej niesamowicie dziewczynki. Studzącym w żyłach krew chichotem pointuje ją ona co mocniejsze sekwencje sztuki z siedmioma nieboszczykami. Jeśli dobrze policzymy.

„Balladyna” w konwencji horroru jeszcze nie mieliśmy. Ale oto jest! W Legnicy. Gdybym dalej miał zeznawać z ręką na sercu, musiałbym napisać, że horror bardziej rysuje się w czytelnym zamiarze niż na scenie. Artyści, którzy mogliby nas nieco „postraszyć” demonicznością swoich postaci, starają się nam przypodobać i cała groza pryska gdzieś między patrzącymi drzewami. Konwencję horroru poddał sam autor tego pomysłu, reżyser Józef Jasielski. Nie wyegzekwował jednak konsekwentnie atmosfery właściwej temu gatunkowi. Cały spektakl jest za jasny, za dużo w nim światła, za mało jest momentów budujących i niosących nastrój grozy, a te które są, jak na przykład scena przed i po zabójstwie Grabca, nie wykorzystują nawet narastania napięcia wynikającego z tekstu.

Miał mieć ten horror kilka scen pozwalających nam zdystansować się do całej zaba-

wy w grozę. Kirkor o głowie niższy od obu siostr Aliny i Balladyny wygląda dość komicznie wpadając w objęcia kobiety, choć aktor grający tę rolę — Józef Gmyrek starał się uciec przed komediowymi sytuacjami usiłując nas przekonać do swojej urody i męskości. Skutek jest dość żalony. Dwiecipne i przewrotne ubiory mają Skierka i Chochlik. Z futrzanych czeluści ukazują nam kobiece kragłości i odpowiednio do tego facjaty, gdy tylko obróca się tyłem do widowni. Grabiec z kolei ubrany w waciak robi wrażenie jakby przywędrował gdzieś z pobliskiej budowy. Lamentujący Filon przypomina lidera rockowej grupy w stylu punk, na głowie ma obowiązkowo czub niezłym wojownik Irokezów. Serio w tym przedstawieniu jest jedynie Balladyna, bo nawet już nie przesłodzona Alina skacząca na niby-lące między niby-fiolkami.

Panie, choć będące w tym spektaklu w zdecydowanej mniejszości, są jednak jego naj-

mocniejszą stroną. Mirosławie Olbińskiej udało się z papierowej, sentymalnie-nałwonej postaci Goplany zrobić kobietę z krwią i kości. Wylaniająca się z otchłani władczyni jeziora rośnie na naszych oczach na wysokość kilku metrów. Jest bardzo dynamiczna, mimo iż swoje ruchy musi ograniczyć jedynie do kilku gestów. Danuta Kotłaczek wyposaża Alinę w świętą naiwność, lagodność, ciepło i słodycz. Ta ostatnia trochę przedawkowana powoduje, iż do Aliny nabieramy właściwego dystansu, co pasuje do zamysłu reżysera.

Najtrudniejsze zadanie miała, rzecz jasna, wcielająca się w tytułową bohaterkę Izabela Laskowska. Ślady walki, którą toczyła z tą rolą znać było jeszcze po kilku spektaklach po premierze. Wydała mi się, że debiutująca w tak dużej roli młoda aktorka najlepiej czuła się w sytuacjach ze sceniczną siostrą, natomiast jakby traciła grunt pod nogami, na przykład w scenach z Fon Kostrynem (Zbysław

Jankowiak). Balladyna-Laskowska ma wiele dobrych momentów, ale w sumie nie jest to porywająca rola. W kilku miejscach wychodzi brak doświadczenia i warsztatu, który aktorka stara się nadrobić spontanicznością. Najmocniej widać to w scenach w zamku Kirkora. Reszta aktorskiego zespołu na spektaklu, który oglądałem, była wyraźnie w gorszej formie.

Ta „Balladyna” da się z całą pewnością oglądać, mnie jest tylko szkoda, że po raz któryś nie udało się na tej scenie zrealizować do końca ciekawego pomysłu. Gdyby było inaczej dawno przekroczyłaby granice województwa legnickiego.

KRZYSZTOF KUCHARSKI

Teatr Dramatyczny w Legnicy — „Balladyna” Juliusza Słowackiego w reżyserii Józefa Jasielskiego, scenografia — Elżbiety Iwony Dietrich, muzycznie opracowana przez Jerzego Rezlera. Premiera — listopad 1983 rok.

„Balladyna” z chichotem



Balladyna (Izabela Laskowska) wysłuchuje przepowiedni Pustelnika (Sławomir Matczak). Fot. Jan Bebel